

Z Ł A K R E W
G R Z E G O R Z
GORIAT

FRAGMENTY KSIĄŻKI



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia
www.wnk.com.pl

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2009
Text © by Grzegorz Gortat 2009

Projekt layoutu i okładki *Mariusz Filipowicz*

Premiera książki: *czerwiec 2009*



02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel.: 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

I.

Przez całą drogę strach mnie nie opuszczał. Wysiedliłmy z tramwaju i prawie biegiem wpadliśmy do bramy. Bałem się za nas oboje. Przemknęliśmy schodami na drugie piętro, stanęliśmy przed zamkniętymi na klucz drzwiami, za którymi zaczynał się tamten korytarz. Nacisnęła dzwonek. Czekaliśmy. Dzwoniła w umówiony sposób. Za przeszklonymi drzwiami zamigotał cień i rozległ się chrobot klucza w zamku. Podążyliśmy oboje za milczącą gospodynią wąskim korytarzem, przesiąkniętym wyziewami obiadów i słodką wonią gazu. Pilnowałem się, by w półmroku nie trącić blaszanych wanieli, butów i pudeł zagrających przejście. Dopiero w mieszkaniu nastąpiło powitanie.

— Urosłeś! — orzekła pani Łopieńska.

— Niedługo kończy pięć lat.

— Jak oni mogli tak z panią postąpić?! — Łopieńska spoglądała ku ścianie, która oddzielała jej małą klitkę od niewiele większego mieszkania rodziców ojca, gdzie przyszedłem na świat. Tam mieściło się „siedlisko zła”.

— Pan Bóg ich osądzi.

— Co dziecko im zawiniło? — Łopieńska brała ze mnie miarę krawieckim centymetrem, znakowała mate-

riał mydłem i wpinała szpilki. Poddawałem się tym zabiegom bez fochów, bo z chaosu zaznaczonych krzyżyków, kresek, szpilek i fastryg wylaniało się nowe ubranko.

Ściana między mieszkaniami była cienka, więc mama zniżyła głos:

— Czasem różne myśli mnie nachodzą. Może to kara boska?

— A za co Bóg miałby panią pokarać? — Łopieńska przytuliła mnie z całą mocą niespełnionego macierzyństwa.

Wzrok Zofii Bodler zdawał się mówić: „Lepiej niech dzieciak o takich sprawach nie dowiaduje się przed czasem”.

Myliła się. Zdążyłem poznać historię jej panięńskiej miłości i feralnej przysięgi dziadka. „Po moim trupie!” — zawołał dziadek (Stanisław odziedziczył wszystkie cechy Karlickich, z oślim uporem na czele), gdy młodzi przyszedł prosić o błogosławieństwo. Rozpiął swój mundur leśniczego, wyjął z szafy służbową fuzję, przykleknął, lufę oparł o pierś i z palcem na spuście obwieścił, że póki żyje, zgody na małżeństwo nie da. Poprzysięgła sobie, że na złość ojcu poślubi pierwszego lepszego. Ilekroć to powtarzała, dawała do zrozumienia, że winą za nieudane życie obarcza właśnie dziadka Stanisława.

Według mnie bezpośrednią sprawczynią nieszczęścia była pani Kozłowska. Gdyby nie umarła, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Kozłowsy mieli lokum w przedwojennej kamienicy przy Żeromskiego. Drzwi w drzwi z nimi mieszkała starsza siostra mamy, która po wystąpieniu w czterdziestym szóstym z korpusu pielęgniarek podjęła pracę w dawnych zakładach Poznańskiego. Ciotka Ziuta wkrótce wyszła za męża i doczekała się córki; Kozłowsy, bezdzietni, całe uczucie przelali na ciotkę i małą Basię. Stefan, mąż ciotki, wytrwale pogrążał się w alkoholizmie, ciotka pracowała za dwoje, a Kozłowsy odgrywali rolę przyszywanych dziadków. Częstymi gośćmi u Kozłowskich byli Bodlerowie — Natalia, Michał oraz ich dorosły syn. Tadeusz — wysoki, postawny, o czarnych, kręconych włosach — skończył właśnie służbę w Marynarce. Kozłowska przed ciotką Ziutą wynosiła Tadeusza pod niebiosy. „Jak to jest — zagadnęła ją pewnego razu ciotka — Bodlerowie mają dwóch dorosłych synów, a pani wciąż tylko Tadzio i Tadzio, o młodszym ani słowa?”. Kozłowska pokiwała znacząco głową. „Bo i mówić nie ma o czym, pani Ziuto. Z tego ich Kazika to jest taki, nie przymierzając, proletariusz”.

Kozłowska wkrótce zmarła i Kazik — wraz z Natalką, Michałem i Tadeuszem — zjawił się na pogrzebie. Tak poznał przyszłą żonę. Zofia Karlicka, zwabiona mitem fabrycznej Łodzi, w ślad za starszymi siostrami przeniosła się z podłódzkiej leśniczówki do miasta. Od dnia stypy Kazik chodził za nią jak cień. Nie dała się długo prosić. Spełniła się zapowiedź zemsty, której patronował dziadek Stanisław i jego służbowa fuzja.

Na przyjęciu weselnym pan młody upił się i wylądował pod stołem. „To ze szczęścia” — zapewniał dziadek Michał pannę młodą. Od dnia ślubu powodów do radości ojcu nie brakowało, bo teraz upijał się regularnie. „Gdybym wiedziała wcześniej!” — żaliła się Zofia Bodler. „Wyszumi się — pocieszały ją starsze siostry, od lat zamężne. — Który chłop nie lubi wypić?”. Dziadkowie, patrząc na rosnący brzuch synowej, zapewniali: „Kazik się zmieni. Ptasiego mleka wam nie zabraknie”.

Obie rodziny — cztery dorosłe osoby — gnieździły się w klitce przy Limanowskiego. Bodlerowie przenieśli się tam z chłopcami podczas wojny, gdy Niemcy w odwecie za odmowę podpisania listy folksdojczów wyrzucili ich z dwupokojowego mieszkania przy Kilińskiego. Dwa małżeńskie łoża stały obok siebie, na noc oddzielane przepierzeniem. Zofia Bodler postanowiła rodzic

w domu. Winę za taką decyzję, która cudem nie zakończyła się tragicznie, ponosił personel medyczny szpitala w podłódzkim Łasku. Na przelomie pięćdziesiątego szóstego i pięćdziesiątego siódmego o sprawie było głośno w całej Polsce. W szpitalu łaskim jednego dnia rodziły panna i mężatka. Z winy lekarzy niemowlęta zamieniono. Panna pierwsza opuściła szpital, w przydrożnych krzakach noworodka uśmierciła, by bez hańbiącego balastu powrócić do rodzinnej wsi. Gdy druga z położnic odkryła pomyłkę, wszczęto poszukiwania. Wieść o horrorze rozniosła się po Polsce. Zofia Bodler, z typowym dla Karlickich uporem, postanowiła: „Do szpitala nie pójde! Choćbym miała rodzić tu, na korytarzu, dziecka konowałam nie oddam!”.

Traciła przytomność, akuszerka okładała ją po twarzy, podczas gdy ja, utknąwszy w połowie drogi, byłem bliski uduszenia i wahałem się, który świat ostatecznie wybrać. Ponoć dopiero modlitwa dokonała cudu. Jeżeli o mnie chodzi, od historii o cudzie wolałem opowieść o sputniku. Mniej więcej sześć miesięcy po moich narodzinach dziadek Michał, po którym przejąłem imię, miał odezwać się przy kolacji: „Bardzo dobrze, że Rosjanie wystrzelili tego sputnika”. „Tak, to wielka sprawa” — podchwycił ojciec. „A odkąd ty komunistami

się zachwycasz?” — Natalka huknęła na męża. „Bo to widzisz, Zosieńko — ciągnął Michał, zwracając się tym razem wyraźnie do synowej — dawniej tylko król rodził się pod własną gwiazdą. A dzięki ruskim każdy swoją gwiazdę może mieć. Lepszy rydz niż nic”.

Pierwszy sputnik dokończył żywota na początku 1958 roku. Małżeństwo Zofii Bodler utrzymało się niewiele dłużej.

— Nadal mieszka z rodzicami — informuje Łopieńska, kończąc fastrygować lewy rękaw marynareczki.
— Która by go chciała?

— Mnie co do tego!

— Prawie dzień w dzień pijany wraca. Nie mają z nim łatwego życia. Słyszę przez ścianę, jak Natalka pomstuje. Michał dawno machnął ręką. Serce mu nawala.

— Jak sobie wychowali, tak mają.

— Może. Ale Tadeusz zupełnie inny. Jakby nie ta sama krew. I z czego to się bierze?

— Codziennie do Boga się modłę, żeby Michał w ojca się nie wdał. [...]

Nadjeżdża tramwaj. Biegiem puszczamy się do przystanku. Masa żelastwa, która w ciemności sunie ze zgrzytem prosto na nas, napawa mnie lękiem. Z opowiadań Zofii Bodler wbił mi się w pamięć obraz: uciekając przed

kolejną pijacką awanturą, w mroźną zimową noc wybiega z mieszkania dziadków ze mną na rękach, jedzie pierwszym lepszym tramwajem na krańcówkę i puszcza się na przestrzał po krzyżujących się torach. „Gdyby nie dziecko, tobym ze sobą skończyła” — lubiła zwierzać się sąsiadkom. Nie wiedziałem, czy jest mi wdzięczna, czy — na odwrót — mnie obarcza winą za przymus trwania przy życiu.

Jedziemy ciemnymi ulicami Łodzi. Wreszcie po prawej stronie wylania się biała bryła pałacu Poznańskiego. Wsiadamy i skręciwszy w prawo, zapuszczamy się w głąb Ogrodowej. Zostawiamy za sobą fabrykę i ciągnące się szeregiem przyfabryczne trzypiętrowe kamienice z cegły, solidne pamiątki po żydowskim fabrykancie Izraelu Poznańskim, hojnym fundatorze ołtarzy do położonego w sąsiedztwie chrześcijańskiego kościoła. Za torami kolejowymi, za szlabanem zaniedbane pojedyncze domy, które przedwojenny kapitalizm ledwo musnął, wznoszą się na wysokość niskich dwóch pięter, z rzadka palą się latarnie. Staram się nie patrzeć przed siebie — nigdy nie wiadomo, co się wynurzy od strony pobliskiego cmentarza. Gdybym był dorosły, nie znałbym strachu. A Zofii Bodler ubylby jeden kłopot — przestałaby się zamartwiać, co ze mnie wyrośnie.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze o istnieniu Franciszka K. ani bydlaka Smierdiakowa. Od spotkania z Kafką, Dostojewskim i klątwą złej Karamazowowej krwi dzieliło mnie pięć długich lat, ale pytanie o rolę fatum (kłania się profesor Bajgelman) i wpływ przypadku przychodzi samo z siebie. Ciekawe, myślałem więc w takich chwilach, co by było, gdyby dziadek Stanisław pociągnął wtedy za spust?

21.

[...] Przedwojenna Warszawa, powiedziałem Michalowi, to były dwa miasta. Była Warszawa chrześcijańska i była Warszawa żydowska. Na Krakowskim Przedmieściu, na Marszałkowskiej, w Alejach Jerozolimskich też trafiały się żydowskie kapoty i brody. Ale żydowskie ulice to były Nalewki, Leszno, Dzika, Gęsia, Pawia, Krochmalna, Nowolipki. Żydowska Warszawa miała swoje warsztaty, fabryki, sklepy, restauracje, szkoły, synagogi, teatry. Kiedy zawędrowałem do Warszawy w 1919 roku, miałem niespełna trzynaście lat. [...]

Półka w moim mansardowym pokoiku zapełniała się. Przybywało książek Pereca, Szaloma Alejchema, Szaloma

Asza. Kupowałem też powieści polskich autorów. W wolnych chwilach sam pisałem buntownicze wiersze i długie opowiadania. Głównie w jidysz, rzadziej po polsku — w tym drugim wypadku bardziej w celu doskonalenia języka. To moje pisanie było niewiele warte, choć wtedy myślałem inaczej. Wieść o poecie kanceliście szybko się rozniosła. Spływały do mnie zamówienia na wiersze i listy do żydowskich dziewcząt. Żyłem z pisania. [...]

Gdzie ja trafilem? Do Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich przy ulicy Tłomackie 13. Tego wieczoru przekonałem się, że Tłomackie 13 to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Tu mógł przyjść dosłownie każdy: Żyd i nie-Żyd, żydowscy literaci piszący w jidysz obok tych tworzących po hebrajsku i po polsku. Drzwi były otwarte dla chasydów i dla ateistów, nikt nie pytał, czy jesteś miłośnikiem poezji, teatru, muzyki czy żydowskiej kuchni. Na Tłomackiem dyskutowano o religii i świecie, o sztuce, medycynie i nowinkach motoryzacyjnych, o polityce i wydarzeniach kryminalnych ostatniej nocy. Jedni czytali wiersze, inni wyklócali się nad recenzjami prasowymi albo oplotkowywali kolegów. Stałym punktem były wieczorki autorskie. [...]

Wszystko — prawie wszystko — co mówi się i pisze o Oświęcimiu, jest prawdą. Właśnie to, dokładnie takimi słowami, powiedziałem Michałowi. Ale o Oświęcimiu, dodałem, nie da się powiedzieć wszystkiego. Żeby w pełni zrozumieć, czym był Oświęcim, trzeba było samemu tam być. Na początek powiem o wzorowej organizacji. Bywały tygodnie, zwłaszcza na przełomie wiosny i lata czterdziestego czwartego roku, gdy codzienne transporty liczyły sześć tysięcy osób. Ten problem — te sześć tysięcy osób wysiadających z wagonów o jednej godzinie na rampie oświęcimskiej — musiał być jeszcze tego samego dnia szybko i efektywnie rozwiązany. Następnego dnia przyjedzie kolejne sześć tysięcy, do tego czasu w obozie muszą zapanować ład i porządek. Czynnikiem decydującym w istotny sposób o wzorowej organizacji całego procesu byliśmy my, członkowie Sonderkommanda. Do Sonderkommanda, do specjalnego oddziału roboczego, Niemcy wybierali młodych, silnych Żydów. Praca w obozie zagłady — jakkolwiek praca — to przepustka do życia. Czym jest Sonderkommando, więzień dowiadywał się dopiero pierwszego dnia pracy. To było ciężkie zajęcie. Do takich obowiązków człowieka nie można

przygotować fizycznie ani psychicznie. Robiliśmy, co nam kazano, byliśmy obowiązkowi, chociaż nikt z nas się nie łudził, że obowiązkowość w t e j pracy równa się gwarancji przeżycia. Nawet bezprzykładna pracowitość i obowiązkowość nie czyniły cię bardziej przydatnym od innych. Nie byłeś niezastąpiony. Zwijając się jak muchy w ukropie, żeby nazajutrz nie pozostał ślad po tych kilku tysiącach z ostatniego transportu, każdy z nas miał świadomość, że jutro może go spotkać ten sam los. Ale „jutro” jawiło się nam jako odległa przyszłość. Liczyło się „dzisiaj”. Myślenie takimi kategoriami dawało złudne przeświadczenie, że przez najbliższych kilkanaście godzin jesteście panami własnego losu. „Dlaczego ja to robię?”. Po dniu pracy w Sonderkommandzie nikt nie stawiał sobie tego pytania. Oświęcim był nową rzeczywistością. Wcześniej nikt o niczym podobnym nie słyszał. Na Oświęcim nie sposób było się zawczasu przygotować. Wszystkiego należało się uczyć na miejscu. Dopiero tam przekonywałeś się, jak wielka w człowieku jest chęć życia. Do czego jesteś zdolny, byle przeżyć kolejny dzień. Aby zwiększyć szansę przeżycia w Sonderkommandzie, musieliśmy zobojętnieć. Więc mówiłeś sobie: ktoś to musi robić, na moje miejsce znajdzie się dziesięciu chętnych. Dziś ty, jutro ja. I bojąc się tego jutra, bo

dalej nasza wyobraźnia nie sięgała, maszerowaliśmy codziennie na kolejową rampę, by jak najlepiej wywiązać się z wyznaczonej roli. W niektóre dni całe transporty kierowano do komór gazowych. Jeżeli Niemcy potrzebowali robotników, to już na rampie przeprowadzali selekcję. W kilka sekund decydowało się, czy idziesz na lewo, czy na prawo. Obozowa orkiestra złożona z więźniów ładnie przygrywa. Na boisku więźniowie uganiają się za piłką. Oj, chyba nie będzie tu tak źle, myślą sobie Żydzi przywiezieni z Rumunii, Słowacji, Węgier, Francji, z polskich miast i miasteczek. Teraz pójdziecie się wykapać, informują esesmani więźniów uznanych za niezdolnych do pracy, wykąpiecie się, mówią uprzejmie, dostaniecie przydział do baraków, a potem was nakarmimy. Niemcy to doskonale zorganizowany, praktyczny naród, ład i porządek stawiają wysoko; pojęli, że podstępem szybciej osiągną cel. Po co narażać się na nieprzyjemne sceny, na takie paskudne widoki, które mogą śnić się po nocach? Więc mając to na uwadze, mówią: „teraz pójdziecie do dezynfekcji”, a my, członkowie Sonderkommanda, potwierdzamy, patrząc Żydom prosto w oczy, tak, teraz idziecie pod prysznic, ubranie złóżcie porządnie i zostawcie w jednym miejscu, żebyście potem nie musieli szukać. Ci Żydzi po wyjściu z pociągu wy-

glądali na okropnie zagubionych. Czy oni życzyliby sobie wiedzieć, co ich czeka? Czy nie dosyć ostatnio mieli nieprzyjemnych przeżyć? Niektórzy — wiem, co mówię, w obozie wielu takich spotkałem — dopiero niedawno się dowiedzieli, że urodzili się pod złym adresem. Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba. Przez całe lata żyli sobie spokojnie, w paszporcie mieli wstemplowane „Francuz”, „Słowak”, „Polak”, „Węgier”, i raptem ktoś wyciąga jakiś papier, a tam podobno stoi czarno na białym, że to żaden Francuz, Polak, Słowak czy Węgier. Krótko mówiąc, oszustwo, na szczęście oszustwo w porę zostało zdemaskowane, dla dobra całego świata prawdę wydobyto na światło dzienne. A prawda jest taka, że w żyłach fałszywego Francuza czy Węgra płynie zła krew. Hochsztapler nie zdołał ukryć, że krew w połowie, w jednej czwartej czy w jednej ósmej ma skażoną, a skoro, wiadoma rzecz, zła krew niczym trucizna zatruwa zdrowe członki, trzeba, jakżeby inaczej, taką złą krew wytoczyć, odsączyć truciznę do ostatniej kropli, a jeśli innej rady nie ma, chore członki ciach! ciach! A że zabieg można przeprowadzić w sposób sterylny? Przy właściwej organizacji pracy nie trzeba sobie nawet ubrudzić rąk? Tym lepiej!

[...] Oślich ławek przybywało. W klasie Danki Kartasz wykryto aż cztery osoby złego pochodzenia. Ojciec panny Szlechter — wyszło szydło z worka — nazywa się Ozjasz Szlechter, czy zatem panna Szlechter, pytano retorycznie, od lat zmagająca się z gruźlicą, nie powinna przenieść się do kraju o cieplejszym klimacie? Na ośłą ławkę trafił także dyrektor łódzkich zakładów jedwabniczych. Zofia Bodler przez dwanaście lat pracy widziała dyrektora może ze trzy razy, dyrektor naczelny Dajgar to jednak nie był zwykły człowiek, przed tym spiżowym monumentem kłaniał się w pas aktyw partyjny i rada zakładowa. I nagle wydobyto na światło dzienne kompromitujące fakty, po piętnastu latach dyrektorowania Dajgara udowodniono czarno na białym, że Dajgar nie ma nawet matury, za to w jego rodowodzie aż roi się od przodków niewłaściwego pochodzenia. „Socjalizm stanął na głowie” — śmiał się pan Graczyk, dzieląc się przyniesioną z pracy wiadomością: od członków zakładowej organizacji partyjnej zażądano okazania metryk chrztu. [...]